Nr 45. Warszawa, dnia 27 Października (8 Listopada) 1890 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: Emil Skiwski w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

GDZIE PĘDZISZ?

Płynie nad jarem, a mgły za nim lecą,
— Gdzie pędzisz, ptaku?
— Śpieszę za szczęściem tam, gdzie gwiazdy świecą
Na mlecznym szlaku;

Lecę wysoko, chmury zdepcę nogą,
Strącę skrzydłami,
Dalej popłynę tą białuchną drogą,
Razem z gwiazdami;

A potem prosto od roku do roku
Po jednem kole,
Z gwiazdami w skrzydłach, z gwiazdami u boku,
Z gwiazdą na czole...

— Ptaku mój, ptaku, zabierz mnie dogóry,
Nad chmur powicie,
Ja ci pomogę deptać czarne chmury,
Pływać w błękicie.

Wł. Trzciński.

Z TYGODNIA.

Na całe dni siedem smutne święto Zaduszek rzuciło cień swój uroczysty, któremu towarzyszy harmonijnie coraz bardziej zagłębiająca się jesień. Ponuro jest od tych dwóch rzeczy, bratnio ze sobą splecionych, a bardziej jeszcze ponuro i z ową *cause célèbre* warszawską Skublińskiej, która to sprawa w tej chwili leży na sądowym stole i została otwarta proceduralnem dochodzeniem.

Zaduszki przeszły, jak corok, uroczyście, uroczyściej niż kiedykolwiek, jeżeli miarą tej świetności ma być przystrój cmentarza i tłumy nawiedzające nieboszczyków. Istotnie było pod tym względem świetnie, jasno, barwnie, tłumno aż do ścisku. Z innej jednakże strony obchód miał swoje braki i wady. Nie od niego to zależało, ani od jego treści, ale od ludzi, którzy obie te rzeczy mają w swoich rękach. Bywają oni weseli tam, gdzieby się należało smucić, dowcipni gdzie potrzeba milczeć, głośni gdzie wypada być cicho. A tak najpoważniejsza uroczystość może skrzywić swe kształty w jakieś karykaturalne załamki, zrywające harmonią i koszlawiące całość.

A przecież święto umarłych mogłoby być wolne od głośnych rozmów, wesołych żartów, ucztowania na grobach, okurzania drzew cmentarnych dymem tytuniowym, od przechadzkowego marszu w towarzystwie, które śród mogił kończy letnie czy majówkowe wycieczki. Jakże to ludziom łatwo zapominać się w sytuacyach, które przecież nawet zewnętrznym wyglądem same o sobie świadczą.

Zaduszki po wsze czasy, i wszędzie i we wszystkich społeczeństwach bywały uroczystością bardzo poważną i poważnego nastroju wymagającą. Nie trzeba sobie wyobrażać, aby były wyłącznie świętem chrześciańskiem. Cześć dla niezbadanej zagadki śmierci była najwcześniejszym kultem wszechludzkości. Uprawia go tak samo dziki mieszkaniec Nowej Zelandyi, jak najwykwintniejszy Paryżanin, uprawiał go najstarożytniejszy mieszkaniec Egiptu, wynalazca najdoskonalszych środków do balsamowania nieboszczyków, a chrześciaństwo pamięci ich poświęciło potężną część swoich obrządków. Ani to rzecz ceremonialna, ani umówiona, prosty wymysł tych serdecznych uczuć, które wzbierają w piersi ludzkiej przy mogile matki lub ojca, brata lub siostry, dziecięcia albo zasłużonego człowieka. Nic naturalniejszego nad te wrażenia i uczucia, nic szlachetniejszego nad chwilę zadumy głębokiej i poważnej przy grobie, który kryje wiekuistą tajemnicę życia... Ci, co tego nie rozumieją, muszą mieć w swojem usposobieniu lekkość, górującą nad wszystkiem, nie myślą chyba i nie czują nigdy.

Oczywiście takich jest mniejszość.

Wspaniale wyglądały Powązki w dzień święta grobowego. Zaszliśmy i na Brudno. Ubożuchno tam, skromnie, mniej gwaru, świateł i ludzi, ale więcej powagi i żałoby. Cmentarz sam wygląda bardzo smutnie i zniechęca do spoczynku wiekuistego.

Co się tyczy sprawy Skublińskiej, jestem w wielkim kłopocie, co z nią zrobić. *Cause célèbre* domaga się rozgłosu i chce być koniecznie poznaną

przez ogół, ale ja się opieram wszelkiemi siłami tym jej chętkom i nie rozumiem, co zadosyćuczynienie im mogłoby przynieść ogółowi czytelniczek... i czytelników naszych. Żałuję bardzo wszystkich, którzy z obowiązku zmuszeni są brodzić w kałuży kryminalnej i spoglądać w oczy zbrodniarzom. Nieboszczyk Wieczorkowski, najzacniejszy z prezesów sądowych, zwykł był mawiać, że ludzie dzielą się na trzy kategorye: tych co w więzieniu siedzieli, co siedzą, lub co siedzieć będą. Gdy mu zarzucano, że twierdzenie takie jest wykwitem do ostateczności rozgoryczonego pesymizmu, odpowiadał: tak — ale ten rozgoryczony pesymizm jest skutkiem ciągłego obcowania ze zbrodnią... A przecież sam był najszlachetniejszym człowiekiem, miał wielkie serce i poświęcał dla bliźnich czas, myśli, pracę, mienie swoje. „Nie psuje mnie i nie zniechęca widok występku, ale mi cierpienie sprawia i odejmuje wiarę w ludzkość."

Aby wam cierpienia nie sprawiać, dobre moje czytelniczki, aby wam wiary nie zabierać, w szczegóły zbrodni Skublińskiej wdawać się nie będę. Główna jej istota zależała na... uśmiercaniu niemowląt, które matki nieszczęśliwe oddawały jej na wykarmienie i opiekę. A robiła tak dlatego, że wygodniej było pieniądze na ten cel dawane chować do kieszeni własnej, niż *wyrzucać* je na wykarmianie dzieci. Zysk tedy był główną sprężyną zbrodni — jak nią bywa najczęściej.

Skublińska miała wspólników i ci stanęli także przed sądem. Świadków powołano wielu i spodziewać się można, że prowadzenie sprawy potrwa długo. Rzecz jest wielce zawikłana. Rozplątanie jej pozwoli do pewnego stopnia zbadać roboty podziemne, prowadzone śród sfer najniższych, najciemniejszych, najuboższych, najczęściej głodnych, najchciwszych chleba i... zysku. Ludzie, którzy z powołania badają przejawy życia społecznego, w sprawie tej znajdą niezawodnie materyał do studyów obfity bardzo. My... zapuśćmy zasłonę na tę straszliwą nędzę natury ludzkiej i, podniósłszy wzrok od krwawej kałuży, patrzmy w słońce, czyste i jasne.

I tylko jedno słowo... z przyczyny tych zbrodni.

Widok sali sądowej zasłania mi obraz, utworzony przez drażliwą, zaniepokojoną wyobraźnię: szereg trumienek dziecięcych, wynoszonych chyłkiem na czarne od cieniów nocy cmentarzysko. Biedne dzieciny, nieszczęśliwe, niewinne istotki, którym na to dano życie, aby od pierwszej chwili było konaniem i męczarnią!

Biedne, nieszczęśliwe matki, którym na to dano te niemowlęta, aby je musiały rzucić w rozpaczy, opuszczone, głodzone, zabijane! A wreszcie biedne i społeczeństwo, które, wysnuwszy z krwawej historyi tego Herodowego mordu ostateczny wniosek, nie przyjdzie do przekonania, że tym opuszczonym dzieciom należy się coś od niego, coby je uchronić mogło przed czułą opieką „fabrykantek aniołków!"

Należy się im coś więcej, niż kilka groszy rzuconych przy ładnej okazyi „Na garnuszek" — oto zajęcie się i maleńki choćby procent od uczuć macierzyńskich, które przecież w sercach kobiecych są tak wielkie, że o cząstkę na rzecz dzieci cudzych uszczuplone, wystarczą jeszcze dla własnych.

Maryusz.

LEŚNICZY.

OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

— O... o! nie strasz mnie napróżno... ja się tak łatwo nie dam zjeść w kaszy, niech spróbuje ze mną wojować, a zobaczymy, kto mocniejszy. Nie z takim miewałem już do czynienia i ostatecznie zawsze wychodziłem zwycięzko. Powiadasz o jakichś tam szczegółach mojej biografii. Zapewne! Szczegóły mogą być nieprawdziwe, mogę im fałsz zarzucić.

Twarz pana Mieczysława wcale tej pewności siebie nie zdradzała; znać było na niej obawę i niepokój, pan Hieronim popatrzył na niego uważnie, wzruszył ramionami i rzekł:

— Jak chcesz. Rób, co ci się podoba. Siedź tu, albo wyjeżdżaj, twoja wola. Co do mnie, już powziąłem postanowienie. Nie będę czekał, aż pan brat powróci po konferencyi z Kalińskim, podziękować mi za pracę w Magdzinie; wolę podziękować pierwszy i wycofam się wpierw niż on powróci, ty zaś, jak powiedziałem, uczynisz jak ci będzie najdogodniej. Zostań, czekaj, konkuruj, a na wesele mnie zaproś, przyjadę. Ja lubię takie widowisko ciekawe.

Tegoż dnia jeszcze, od Żydka, który z polecenia pana Hieronima wszystkie kroki Kalińskiego śledził, nadszedł list, pełen najgorszych dla pana Mieczysława wiadomości. Pokazało się, że cichy i małomówny leśniczy, człowiek który, jak się zdawało, pięciu zliczyć nie potrafił, doskonale radził sobie w dużem i obcem mieście i przy pomocy sprytnego agenta odgrzebywał wszelkie sprawki pana Winterbluma i zaopatrywał się w różne przeciwko niemu świadczące dowody, nie żałując na to pieniędzy i zachodu.

Pan Hieronim, przeczytawszy list, oddał go małemu człowieczkowi.

— Dowiesz się ciekawych rzeczy — rzekł z ironicznym uśmiechem.

Winterblum zgrzytnął zębami i pobladł, przekonał się bowiem, że sprawa jego jest bezpowrotnie stracona, że nie pozostaje mu nic, jak tylko opuścić conajprędzej tę okolicę.

— Pójdę za twoją radą — rzekł cicho.

— Najrozumniej postąpisz — odpowiedział pan Hieronim. — Wszystko zepsułeś, zmarnowałeś... teraz cierp.

— Ależ, człowieku, ja przecież w ten majątek pewien fundusz włożyłem, własne, krwawo zapracowane pieniądze, i bynajmniej nie mam zamiaru dać ich w prezencie twemu kuzynowi.

— Ha... czego to ludzie nie robią z wielkiej miłości — rzekł pan Hieronim, uśmiechając się złośliwie; — ofiaruj je pięknej Anielci.

— Proszę, przestań mnie dręczyć, czy jeszcze mało wycierpiałem w tym szkaradnym kącie? Poco ja przybyłem, poco? poco?

— No, nie rozpaczaj, pieniądze twoje są zahypotekowane; możesz je kiedyś odebrać, możesz egzekwować, w ostateczności możesz komu odstąpić.

— Ale komu?

— O to bądź spokojny, ja sam znajdę ci Żydka, który tę sumę chętnie nabędzie.

— Z moją stratą naturalnie.

— Spodziewam się, że stracisz na tej tranzakcyi, ale na to rady niema. Ratuj co można, jedź w świat i na przyszłość strzeż się wszelkich spraw sercowych. Niezawsze to bezpieczne, a w twoim wieku stanowczo szkodliwe.

Przez kilka dni zrzędu pan Hieronim i jego przyjaciel byli w ciągłych podróżach. Pierwszy dobijał targu o dzierżawę, drugi starał się znaleźć nabywcę na sumę. Udało mu się to wreszcie, przy pomocy licznej rzeszy faktorów, ale ledwie połowę mu dali.

Po załatwieniu tej sprawy, pan Winterblum do Magdzina już nie wrócił, lecz koleją żelazną udał się w dalekie strony. Pan Hieronim zaraz dzierżawę objął, a do pana Ludwika zostawił list, w którym usprawiedliwiał swój postępek:

„Nie weźmiesz mi tego za złe, pisał, ale inaczej zrobić nie mogłem. Ja ci w Magdzinie potrzebny nie jestem. Kaliński, do którego masz wielkie zaufanie, da sobie z gospodarstwem radę. Ja muszę sobie los zabezpieczyć. Trafiła mi się korzystna dzierżawka, więc ją biorę. Nie wiem, gdzie się w tej chwili obracasz, więc żegnam cię listownie. Powodzenia wszelkiego ci życzę."

Zakończył czułościami i uściskami dla pana Ludwika i dla Anielci. List złożył na ręce pani Józefy i odjechał, pozostawiwszy gospodarstwo na opiece karbowego i służby.

Kaliński, powróciwszy z drogi, wprost do dworu się udał, w przypuszczeniu, że już pana Ludwika i Anielcię zastanie. Przygotowany był do stoczenia utarczek o Winterbluma, odkrycia całej jego przeszłości i położenia tamy dalszym jego rządom. Przygotowany był do walki, a tymczasem nie zastał nieprzyjaciela na placu.

Gdy do dworu wszedł, wybiegła ku niemu ciotka Anielci, prawie zrozpaczona.

— Bogu dzięki! — zawołała, — żeś pan nareszcie przyjechał, bo doprawdy nie rozumiem, co się tutaj wyrabia.

— Cóż takiego?

— Uciekają wszyscy, jak od miejsca zapowietrzonego. Ów pan, którego nazwiska spamiętać nie mogę...

— Winterblum.

— No tak... zniknął jak kamfora, nawet nie był łaskaw pożegnać się ze mną. Hieronim także nas opuścił...

— Chyba tylko chwilowo.

— Ale gdzież tam! na zawsze. Nie chce tu dłużej być, mówi że dość już się nawysługiwał ludziom, że czas o sobie pomyśleć, o zabezpieczeniu kawałka chleba na starość. Perswadowałam, prosiłam, żeby przynajmniej do czasu powrotu Ludwika został, ale gdzietam...

— Czy wolno zapytać, dokąd się udał pan Hieronim?

— Dzierżawę wziął i będzie gospodarował. Bardzo to dobrze, ale dlaczego nie uprzedził, dlaczego zostawił tu cały majątek na łasce losu?... Nie wyobrazi pan sobie, jak się bałam. Nie mogłam sypiać z obawy, zdawało mi się, iż podpalą budynki, napadną, zabiją mnie. Sama jedna kobieta w takiej pustce bez żadnej opieki.

— Przecież, Bogu dzięki, nic się złego nie stało.

— Ale mogło.

— Miejmy nadzieję, pani dobrodziejko, że i nadal nieszczęścia omijać nas będą. Tych, którzy

odeszli, nie żałujmy, więcej tu oni złego aniżeli dobrego zrobili, korzystali z kalectwa pana Ludwika. Mniejsza o nich; niech idą dokąd chcą, byle już do nas nie wracali. Czy nie miała pani listu z Warszawy?

— Z Warszawy? od kogóżby, panie, nikogo tam nie znam.

— Od panny Anieli.

— Przecież ona z ojcem w Galicyi jest u krewnych.

— Nie, pani, są oboje w Warszawie. Musieliśmy to trzymać w sekrecie z obawy, aby tamci panowie zamiarów naszych nie sparaliżowali. Teraz, gdy ich już niema, nie widzę potrzeby taić prawdy przed panią dobrodziejką.

— Więc Anielcia z ojcem w Warszawie?

— Tak jest, proszę pani, pojechali tam z nadzieją, że się pan Ludwik wyleczy.

— Co pan mówisz?!

— Z nadzieją pojechali, z czem wrócą, nie wiem.

— Boże... Boże! oby się nie zawiedli!

Nazajutrz telegram przyniósł wiadomość, że się nadzieje ziściły.

. . . .

(*Dokończenie nastąpi.*)

Znaczenie kursu gimnazyalnego
DLA KOBIET.

Odebraliśmy od jednej z czytelniczek naszych list z szeregiem pytań, których celem jest wogóle i w szczególności wykształcenie uniwersyteckie. Młoda panienka (tak wnosimy z kilku wyrażeń) chce się mianowicie dowiedzieć, jakiemi drogami iść trzeba, aby, po skończeniu nauk wedle programu zwykłej pensyi sześcioklasowej, przygotować się odpowiednio i dostatecznie do studyów na wszechnicy. Obecnie, jak pisze sama, posiada sporo wiadomości z nauk w życiu niezbędnych, ale przeraża ją myśl o łacinie i greczyźnie, bez których niepodobna zaciągnąć się do szeregu „studentek." Narzeka gorzko na taką „niemożność," która jej się wydaje objawem przekorności względem kobiet, i sądzi że języki łaciński i grecki są tylko zbytkiem, bez którego dla dobra medycyny, matematyki i przyrodnictwa wygodnie obyć się można. Nie pojmuje też, na co jej się może przydać umiejętność rozwiązywania równań stopnia trzeciego na wydziale lekarskim, na którym z algebrą niema się stosunków żadnych — jak również co chemikowi po dziejach wojen krzyżowych, które nie wpłynęły ani na chwilę na jednoczenie się pierwiastków w ciałach złożonych. Panna M. (od tej litery zaczyna się nazwisko naszej korespondentki) sądzi, że półtora roku najwyżej wystarczy jej na przygotowanie się do egzaminów wstępnych i twierdzi napewno, że skoro umysł przez wiek odpowiedni dostateczne posiadł siły, to wszystko z kursu gimnazyum (męzkiego oczywiście), co do tych egzaminów jest potrzebne, nabyć można wciągu dwóch lat.

Panna M. poruszyła kwestyą dość ważną, o której właśnie mówić tu zamierzamy, w przekonaniu, że ona jest interesującą dla wielu naszych czytelniczek. Kwestya ta formułuje się w następującem pytaniu: czy to, co daje nauka gimnazyalna, konieczne jest studentce... medycyny — czy też jest to tylko wymagane przez niechęć mężczyzn, którzy trzymają w rękach swoich sprawy uniwersyteckie?

Zaczniemy rzecz od odpowiedzi na drugą połowę pytania.

W ostatnich czasach rozpowszechniło się pomiędzy kobietami mniemanie, że mężczyźni niechętnem okiem patrzą na ich aspiracye naukowe i że im stawiają przeszkody w postaci wszelakiego rodzaju wymagań nadmiernych i złośliwych szykan. Tymczasem godzi się nie zapominać ani na chwilę, że takież same wymagania stosowane są i do młodzieży męzkiej, która również udowadniać musi przejście kursów gimnazyalnych. Z tej więc strony niesprawiedliwością jest szukać złej woli, a zato nie dopatrywać potrzeby prawdziwej i głęboko wyrozumowanej. A skoro tak jest, tedy zgóry przypuścić należy, że nauka gimnazyalna niezbędną jest dla przyszłych studyów uniwersyteckich.

Że się przy nich można obywać bez łaciny i greczyzny, bez matematyki lub historyi — to rzecz jasna i pewna. Natomiast nie można ich prowadzić korzystnie bez tego wszystkiego, co stanowi całkowity kurs gimnazyalny —nie dlatego, aby on dawał przyszłej studentce wykształcenie specyalne i pożytkowe, ale ponieważ zadaniem jego jest tak wyćwiczyć i przygotować umysł, aby stał się odpowiednim do studyów uniwersyteckich. Potrzebnemi są tedy i łacina, i greczyzna, i historya i matematyka— jako środki rozwoju umysłowego i przygotowania, zupełnie tak samo jak pięciopalcówki w nauce gry fortepianowej dla przyszłego wirtuoza, który się przecież przed słuchaczami ich wykonywaniem nigdy chwalić nie będzie.

Kurs gimnazyalny wtedy właściwym jest i prawidłowo zorganizowanym, kiedy kształci umysł wszechstronnie, zarówno ze względu na zdolność kombinowania, jak i na pamięć. Kto się nie uczył wokabuł łacińskich i algebry, ten się umysłowo nie kształcił, nie dojrzał. Mogą mu one w dalszem życiu „wywietrzeć z głowy," mogą mu być niepotrzebne, ale, bądźcobądź, dla dojrzewania i mężnienia umysłu zrobiły już co zrobić powinny i choć poszły w kąt, ułatwiły studya, uprzystępniły zdobywanie innych wiadomości, umożliwiły umysłowi gromadzenie wiedzy, która inaczej byłaby dla niego niepochwytną.

Uciążliwem jest bardzo siadywanie na ławach gimnazyalnych przez lat osiem i byłoby prawdziwą torturą, gdyby istotnie czas dwuletni w zupełności na przyswojenie sobie kursu gimnazyalnego wystarczał. Ale tak nie jest i być nie może. Wystarcza on wprawdzie na pochłonięcie odpowiedniego zasobu wiadomości, ale nie wystarcza na rozwój i dojrzewanie umysłu. Praca dwuletnia, gwałtowna, wysiłkowa nie wzmacnia inteligencyi, ale ją nuży, wyczerpuje, a ze zdobytych owoców nauki te tylko pozwala mu zatrzymać na przyszłość, którym towarzyszy możliwe przy naturalnym rozwoju umysłowym zrozumienie. Niezmiernie to mało! Praca taka ma jedynie wartość teoretycznego poznawania przedmiotów, ale nie praktycznego, stopniowego ćwiczenia inteligencyi, a właśnie ono jest kardynalnym warunkiem nauki gimnazyalnej.

Ponieważ tak jest istotnie, przeto twierdzić można bez wielkiej omyłki, że te panienki, które wstępują na uniwersytet po roku lub dwóch latach gwałtownego wchłaniania rzeczy gimnazyalnych, stają wobec kursów wyższych nieprzygotowane, z umysłami wyćwiczonemi niedostatecznie, a więc bez możności korzystania...

Co prawda, nauka na pensyi też coś znaczy, pewne cele osiąga, ale, niestety, po największej części daje ona bardzo mało właśnie pod względem rozwijania umysłu. Ponieważ jeszcze teraz nie pozbyliśmy się przekonania, że nauka jest dla kobiet zbyteczną i że o tyle tylko trzeba je kształcić, o ile to się przydać może na życie codzienne, z dodatkiem tych przedmiotów, które mianowano dawniej *talentami*, a które miały na celu wdzięk i przystrój, przeto plan nauk na pensyach do takich pojęć stosowany bywa. Nie ma on na celu rozwoju i umysłowego dojrzewania, czyni zadosyć potrzebie przyswojenia wiadomości niezbędnych. Ztąd idą rachunki (dziś szumnie matematyką zwane), jakieś bardzo ogólnikowe elementa przyrodoznawstwa, języki z ostatecznym celem najpobieżniejszej konwersacyi i po odrobince z historyi, z geografii... niby estetyka, niby hygiena, niby literatura, wszystko w zakresach jaknajszczuplejszych, aby nie przekroczyło kilkoletniego kursu. Co ważniejsza, wszystkie te przedmioty nie bywają wykładane gruntownie i zasadniczo, ale pobieżnie i powierzchownie, a to właśnie sprawia, że w tej „nauce pensyonarskiej" umysł się nie ćwiczy, nie rozwija, nie dojrzewa tak, aby był przygotowany do studyów wyższych.

Kobiety wogóle mniej są uzdolnione od natury do kombinowania myślowego, dlatego są pod tym względem pozbawione twórczości. Mają zato dużo sprytu, umysł ich jest lotniejszy, pojmuje łatwo — ale to tylko w początkach. A skoro tak jest istotnie, systematyczne i gruntowne ćwiczenia ich inteligencyi są dla nich niezbędne, jeżeli naukę obierają sobie za cel całego życia. Na tej zasadzie wnioskować łatwo, jak bardzo kurs gimnazyalny jest dla nich niezbędny i jak wiele przynieść im może brak jego w przyszłości. Kto wie, czy właśnie nie z przyczyny tego braku nasze panie *doktorki*, dyplomowane po świetnie odbytych studyach uniwersyteckich, w zawodzie późniejszym giną, jak gasnące gwiazdy. Sprawa jest nazbyt ważna, aby w omawianiu jej nie rządzić się prawdą i nie mówić jak nakazuje sumienie: nie słychać ani o jednej z „*doktorów*" nic innego, jak tylko że... lepiej się leczyć u lekarza-mężczyzny. Tak mówią kobiety same, a najgłośniej te, co już pomocy u kobiet szukały. Dlaczego?... Wszakże uczone panie ciężko pracowały na uniwersytetach, świetnie poskładały egzamina, na doktoryzacyach zdobywały stopnie i berety, poklaski najuczeńszych profesorów i ich komplimenta; cóż się teraz dzieje, że przy łożu chorego tracą przytomność, że się plączą w ordynowaniu środków, że kuracye idą im niesporo, a cele chybiają?... Jeżeli to nie jest wynikiem braku zdolności kombinacyjnych i twórczości z *natury*, to niezawodnie niedostatecznego wyćwiczenia i niedojrzałości umysłu przed studyami, które roboty gimnazyalnej nie zastępują nigdy. Brak ten niczem wynagrodzić się nie daje, zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn, i jest złem, które usuniętem być powinno, jeżeli pole zawodów naukowych ma stać otworem dla kobiet.

Złe to przecież nie da się usunąć inaczej, jak tylko przez zupełne zrównanie kursów gimnazyalnych dla kobiet i dla mężczyzn. Gdzieindziej już tego dokonano — gdzieindziej też kobiety w zawodach naukowych osiągają rezultaty daleko pomyślniejsze, niż u nas. I u nas zresztą te, które się takim zawodom poświęciły, potrafiły odbyć studya i zyskać dyplomy tylko przez zdolności wyjątkowe, przez niezwykłą energią i niezwykłą pracę. Ale do zdobycia dyplomów wystarczają zdolności, energia i praca — do samodzielnego pełnienia zawodu to mało. Tutaj wnieść trzeba dojrzałość umysłu, siłę i sprężystość władz jego, wyćwiczenie intelektualnych czynników,

a to wszystko zyskuje się nie podczas studyów specyalnych, lecz w epoce przygotowywania się do nich. Lekcye medycyny podsuwają materyał dostateczny do ocenienia choroby i wskazania środka przeciw niej, ale umysł niedosyć dojrzały może uczynić fałszywy wybór z podsuwanych przez naukę wskazań. Przecież bardzo rozumną jest formułka o „nożu w ręku szalonego...”

S. I.

Z Mirza Schaffy.

Czemże przy twej kibici
Są smukłe jodełki,
Czem przy złotych twych włosach
Niteczki kądzieli,
Czem przy białych twych ząbkach
Wód morskich perełki,
Czem przy jasnych twych oczach
Zrenice gazeli?
Czemże przy twych usteczkach
Są krasne korale,
Czem przy cudnych twych licach
Szyraskich niw róże,
Czem przy tobie świat cały?
O, mój ideale,
Tyś stworzona, by służyć
Za wzór wszej naturze!

Wu. Eł.

PAMIĘTNIKI KSIĘŻNICZKI ARABSKIEJ.

PRZEZ

Emilię Ruete.

Życie kobiety arabskiej jest nam mało znane i możemy tylko domyślać się jej uczuć i myśli. Twierdzimy stanowczo, że nie gra ona żadnej roli, że jest zwierzątkiem prowadzonem zapomocą strachu. Hojnie obdarzamy ją współczuciem z lekką domieszką pogardy i wyrażamy przekonanie, że niema chyba księżniczki w Afryce, którąby nie zgodziła się z radością zamienić los swój na los naszej praczki. Ponieważ mało księżniczek, jak dotąd, miało sposobność zrobić podobne doświadczenie, a ani jedna nie zwierzyła się z doznanych wrażeń, wolno było myśleć, co się podoba.

Dopiero teraz jedna z nich opowiedziała nam swoje losy. Córka sułtana Zanzibaru, przeżywszy lat dwadzieścia jako muzułmańska księżniczka, pozwoliła się wykraść przemysłowcowi z Hamburga i przez drugie lat dwadzieścia wiodła żywot niemieckiej mieszczanki. W tem nowem otoczeniu nauczyła się zastanawiać i następnie wydała swoje „Pamiętniki.” Przedmiotem jej opowiadania jest właśnie porównanie pierwszej połowy życia z drugą, rodziny arabskiej z chrześciańską. Jeżeli pisma tej, która dziś zwie się panią Emilią Ruete, wpadną kiedy w ręce którego z jej ziomków, potępi ją zapewne za to, że opowiedziała niejedno, co powinno było zostać przemilczanem, że odsłoniła obcym oczom harem własnego ojca i zdradziła tajemnice domu, który był jej rodzinnym domem.

Dla nas zaś, którzy nie mamy podobnych powodów do oburzenia, te kartki pełne szczerości tem więcej przedstawiają interesu, że pisane były z przekonania, iż zdołają zmienić nasze zapatrywania na muzułmańskie zwyczaje. Spróbujemy odtworzyć w ogólnych zarysach obraz młodzieńczych lat pani Ruete, według jej własnych zwierzeń.

I.

Urodziła się w Zanzibarze, na imię jej było Salme, a skórę miała koloru czekolady. Ojcem jej był sławny Sedżid-Said, imam w Maskacie w Arabii, od roku zaś 1784 sułtan Zanzibaru z prawa podboju. O ile się zdaje, musiała przyjść na świat około roku 1844, kiedy ojciec jej miał już conajmniej lat osiemdziesiąt, lecz nie wymienia ona żadnych dat; może być, że sama nie zna ich dokładnie. W otoczeniu, w którem wzrosła, daty i cyfry nie były bardzo znane, nie uprawiano tam rachunków, które naszemu życiu nadają cechę oschłości, wykreślając z jego programu wszystkie niespodzianki. Tam zaś minione zdarzenia tułały się bezładnie w pamięci, tak jak życie upływało na nieokreślonych żadną rachubą falach. Mała księżniczka Salme widziała, że ojciec ma siwą brodę, że siostry mogłyby być jej babkami, że jeden z jej siostrzeńców był prawie starcem, lecz ścisła chronologia rodzinnych wypadków nie istniała w jej pojęciu. Ile miała sióstr, ilu braci? Ile żon miał jej ojciec? Ile ulubienic, noszących tytuł sarari? Nie wiedziała, a ta nieświadomość stosunków rodzinnych rzucała na nie pewien urok poetyczny. Rozkoszne wzruszenie owładnęło jej duszą w chwili, gdy poraz pierwszy dostała się do miejskiego haremu ojca i ujrzała cały legion nieznanych dotąd sióstr i braci. Cały dzień przeszedł na robieniu zajmujących odkryć.

Pierwsze lata dziecinne przeżyła ona w wiejskiej rezydencyi ojca, położonej blizko miasta Zanzibaru. Pałac ten nazywał się Bet-il-Mtoni; za dawnych czasów składał się z jednego ogromnego podwórka, otoczonego wokoło budynkami. Wmiarę wzrostu rodziny dorzucano do niego to skrzydło, to galeryą, to pawilon, zlepiając je w jednę wielką i malowniczą masę, tak że wkońcu pałac zamienił się w olbrzymie gniazdo, zamieszkałe przez tysiąc ludzi. Była tam tak wielka ilość komnat, korytarzy, schodów, taka plątanina najrozmaitszych kształtów i wielkości, że długiego czasu potrzeba było na oswojenie się z chaosem. Wśród tego labiryntu kotłowały się mnogie zastępy różnobarwnych kobiet, brunatnych, czarnych i białych, dzieci jasno i ciemnoskórych, zrzędnych eunuchów i niewolników obojej płci, nosiwodów, kucharzy, murzynów, laufrów, masażystek, piastunek, haftarek, jednem słowem niezliczony sztab służby, zwykłej w bogatych domach na Wschodzie. Jaskrawemi kolorami błyszczały stroje, klejnoty świeciły na rękach kobiet, na ich nogach, głowach i szyjach. Żebraczki nawet — mówi księżniczka Salme — nosiły klejnoty; w Zanzibarze kobieta nie byłaby kobietą, gdyby nie miała bransolet i obrączek na nogach. Chmary papug i gołębi fruwających, gruchających, szczebiocących w otwartych galeryach, powiększały wrzawę tego tłumu, nawołującego się kilkunastoma językami i narzeczami. Eunuchowie łajali niewolników i napędzali ich do roboty. Dzieci krzyczały i popychały się. Drewniane sandały kobiet klekotały na marmurowych posadzkach, a złote obręcze na nogach dzwoniły zlekka.

Podwórzec ten służył za wielką salę do zabawy, schronienie próżniaków, menażeryą i gospodarskie podwórze.

Mnóstwo kaczek, gęsi, perliczek, pawi i czerwonaków, obłaskawionych gazelli i strusiów żyło tam na swobodzie. Mieszkańcy różnych części pałacu przechodzili tamtędy, idąc jedni do drugich w odwiedziny. Ludzie nienależący do służby pałacowej, posłańcy, tragarze, rzemieślnicy, dostawcy, roili się tłumem. Na jednym końcu było dwanaście wielkich basenów, otoczonych zakrytą galeryą, na usługi kąpiących się. Przechodziło się, idąc do kąpieli, pod olbrzymiemi pomarańczowemi drzewami, których gałęzie służyły za schronisko dla dzieci, zagrożonych karą za psoty. Na tym też olbrzymim podwórcu młodzi książęta i ich siostry brali od eunuchów lekcye jazdy na czystej krwi arabskich koniach i białych osłach z Maokatu. Lekcye odbywały się wieczorem i rano; książątka galopowały i odbywały ćwiczenia, siedząc na wysokich, bogato haftowanych siodłach; złote i srebrne ozdoby przy uprzężach brzęczały donośnie i stada spłoszonych ptaków zrywały się zprzed nóg koni. Ruch, wrzawa, światło, barwy, wszystko było jaskrawe w Bet-il-Mtoni, wszystko uderzało ostro słuch i oczy. Jeden tylko zakątek był tam spokojny i cichy: apartament pana i władzcy tych wszystkich bogactw, starego Sedżid-Saida o śnieżnej brodzie. Zamieszkiwał on jedno skrzydło pałacu, wychodzące na morze, pod oknami rozciągał się obszerny, zaokrąglony taras, pokryty śpiczastym, drewnianym, malowanym dachem i otoczony takąż samą balustradą. Stary władzca w chwilach, gdy nie udzielał posłuchań, ani też nie odmawiał modlitw, wychodził na taras i przechadzał się po nim całemi godzinami, z głową pochyloną, z miną roztargnioną i stroskaną, kulejąc skutkiem dawno otrzymanej rany w nogę. Któż może odgadnąć, jakie smutki ciężyły na tej siwej głowie? Monarchowie wszystkich krajów mają wspólne troski, lecz kłopotów Sedżid-Saida niełatwo nam sobie wyobrazić, ani odgadnąć o czem rozmyślał, gdy które z dzieci lub jedna z licznych sarari prosiła go o co, a on zmuszony był proszących odsyłać do wspólnego wszystkim tyrana, do swojej prawej małżonki, despotycznej bibi Azze.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DUSZA PIOTRA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

— No i cóż, czy zupełnie czujesz się dobrze, Jakóbie? — zapytał książę.

— Zupełnie, jak widzisz — odpowiedział młody człowiek.

— Dzięki należą się za to temu klimatowi, który powrócił ci zdrowie, a nam miłego towarzysza. Teraz swobodnie możesz używać życia.

Młody człowiek oparł się o kolumnę tuż koło księcia i błądząc wzrokiem po sali, odparł z rozkoszą:

— Cieszę się życiem, mój drogi książę; teraz dopiero rozumiem jego wartość, gdym o mało nie utracił go na wieki. Ty nigdy zapewnie nie byłeś ciężko chorym i nie rozumiesz, jaka tęsknota ogarnia umysł, wmiarę gdy nikną siły ciała. Zdaje się wtedy człowiekowi, że świat okrywa się czarną krepą i wszystko przedstawia się smutne i ponure. Najszczęśliwsze chwile zatruwa myśl, że one może są ostatnie, z których się cieszymy. Ogarnia nas chęć przeklinania i nienawidzenia wszystkiego, co tchnie pięknością lub spokojem. Doznałem ja wszystkich tych wrażeń i możecie mi wierzyć, że nic nad to nie może być boleśniejszem. Ale przeszedłszy przez piekło, jestem teraz w raju. Wszystko mi się podoba, wszystko mnie nęci i zachwyca, nauczyłem się cenić wartość szczęścia i cieszyć się niem. Blask słońca wydaje mi się łagodniejszym, zapach kwiatów milszym, kobiety powabniejsze... Rozkoszne i wszechwładne uwielbienie budzi się w całej mojej istocie... Omało co nie umarłem... i od tej chwili naprawdę pokochałem życie.

— Słucham z przyjemnością twej mowy — odparł Patrizzi. — Wyzdrowienie twoje jest wistocie godne podziwu. Skoro pomyślę o tem... gdyż trzeba ci wiedzieć, że opowiadano nam w tym przedmiocie mnóstwo nadzwyczajnych rzeczy. Wszak podobno ofiarowano ci nową duszę? Dawidoff twierdził, że to nie ty żyjesz, lecz twój przyjaciel Laurier. Dodawał przytem, że masz szczęście, gdyż Piotr należał do rzędu tych ludzi, co do stu lat dożyć mogą.

Książę rozśmiał się szczerym, swobodnym śmiechem, Jakób zaś pobladł, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

— Proszę was, nie mówmy o tem—rzekł młody człowiek. — Robicie mi przez to wielką przykrość. Laurier był towarzyszem moich lat dziecinnych i długo nie zapomnę jego straty. W każdym razie jeżeli jabym żył zamiast niego, świat niceby nie zyskał na tej zamianie, gdyż Piotr był artystą obdarzonym niepospolitym talentem, a ja nigdy niczem nie będę, jak tylko człowiekiem nieużytecznym.

Wymawiając te słowa drżącym i urywanym tonem, Jakób zbladł, oczy jego sina podkrążyła obwódka, a twarz przeciągnęła się i zapadła. Drżał przytem jak w febrze, pomimo to jednakże usiłował się uśmiechnąć. Lecz przyjaciele jego, zamiast zdrowego i wesołego chłopca, ujrzeli nagle przed sobą złowrogą postać dogorywającego człowieka.

Po chwili rumieniec wystąpił znów na jego policzki, oczy nabrały blasku, usta rozchyliły się uśmiechem i Jakób stał się znów takim, jabim był przy wejściu na salę, to jest zdrowym i wesołym. Znać było, że pragnął otrząsnąć się z tego niemiłego wrażenia, gdyż zawołał z nieco wymuszoną wesołością:

— Co za prześliczny wieczór, wszystko zdaje się sprzyjać rozkoszy! Na zewnątrz słychać gwar wesoły, tu zaś wdzięk i powab roztacza swe panowanie.

Gdy kończył te słowa, jakieś białe domino wysunęło się zpośród gromadki osób i zbliżając się do niego, rzekło zmienionym głosem:

— Mówisz o wdzięku i powabie? Przekonajmy się więc, czy czyny twoje będą w zgodzie ze słowami.

I domino błyszczącym wzrokiem przypatrywało się Jakóbowi. Młody człowiek podał masce ramię i rzekł wesoło:

— Pragniesz się przekonać o tem, piękna maseczko, a więc staraj się mnie zachwycić; upewniam cię, że pociski twoje nie odbiją się o pancerz ze stali.

Maska musnęła go zlekka wachlarzem po twarzy.

— Nie wiem, czy to przyjąć jako kompliment, czy też jako niegrzeczność, lecz przebaczam ci nawet tę ostatnią, w nadziei że się poprawisz.

Jakób spojrzał ze złośliwym uśmiechem w stronę swoich przyjaciół i zniknął w tłumie, wraz z nieznajomą maską.

— No, Patrizzi, ponieważ zgadujesz nazwiska wszystkich kobiet, powiedz nam także imię tej, która nam porwała Jakóba de Vignes? — odezwał się jeden z młodych ludzi.

— Doprawdy, niech mnie licho porwie, jeśli to nie była Klemencya Villa!

— Jeśli tak jest wistocie, to prędko zapomniała o biednym Piotrze Laurier.

— Ale Jakób o nim nie zapomniał. Czyście widzieli jego niepokój, gdy mu wspomniałem o jego przyjacielu? Twarz, przedtem uśmiechnięta, świeża i rumiana, zmieniła się w sposób przerażający. Wyglądał jak nieboszczyk. Przypominacie sobie zapewne, z jaką dokładnością nasz przyjaciel Dawidoff odmalował nam stan moralny chorego, ocalonego przez wiarę. Budowa podobnego wyzdrowienia jest niezmiernie krucha — zakończył doktor, — jedno słowo zdołałoby ją w niwecz obrócić. Gdyby silne przekonanie, które wróciło siły Jakóbowi, osłabło, stan jego pogorszyłby się znacznie. Na niego oddziaływa coś w rodzaju czarów... Ulega on wpływowi jednej myśli i ten wpływ dodaje mu siły.

— Ten właśnie wpływ tajemniczy zapewnia powodzenie szarlatanom, empirykom i zagranicznym doktorom, którzy zdobią klapy swego tużurka różnokolorowemi wstążeczkami i przybierają wątpliwe tytuły, wyłudzając pieniądze od chorych, którzy za jakąbądź cenę pragną pozyskać pewność wyzdrowienia.

— Są także i fałszywi chorzy, którzy bardzo łatwo odzyskują zdrowie, i zdaje mi się, że nasz przyjaciel de Vignes zalicza się do ich rzędu.

Patrizzi przecząco wstrząsnął głową.

— Pragnę tego ze względu na jego matkę — rzekł poważnie.

Wesołe głosy przerwały mu mowę; kilkanaście strojnych masek przesunęło się w tłumie, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Młodzi ludzie, otaczający księcia, rozbiegli się w różne strony, szukając zabawy i wrażeń.

Jakób, prowadząc pod ramię nieznajomą maskę, przypatrywał jej się ciekawie. Kobieta szła szybko, jakby się lękała, aby jej kto nie poznał i nie odwołał.

Weszli wreszcie na korytarz prowadzący do lóż i zatrzymali się w małym saloniku.

— Powiedz mi kto jesteś, piękna maseczko? — zaczął Jakób.

— Nie mogę tego uczynić — odparła. — Jeśli nie zastosujesz się do mojego życzenia, nie zobaczymy się więcej.

— A jeśli uczynię zadość twej woli, czy będę się mógł spotykać z tobą?

— Bezwątpienia — potwierdziła kobieta.

Białe domino rozchyliło się nieco, ukazując alabastrowe ramiona, różowe małe uszko wyglądało zpod koronkowego kapturka.

— Nie chcesz, maseczko, ukazać swego oblicza— zaczął Jakób, — a jestem pewny, że nie straciłabyś na tem... Jesteś młodą i piękną bezwątpienia. Masz więc chyba jakie powody do ukrywania się przedemną?

Kobieta twierdząco skinęła głową.

— Czy ja cię już przedtem gdzie widziałem? — badał dalej młody człowiek. — Powiedz mi przynajmniej, gdzie cię spotkałem; tu, czy w Paryżu?

Kobieta milczała.

— A więc mieszkasz w Nizzy? — podchwycił znowu Jakób. — Musiałem cię spotykać, a może nawet kochałem się w tobie.

Lekki uśmiech przemknął po ustach kobiety.

— Jakiś ty ciekawy — szepnęła.

— Jakżeż nim nie być? Jestem pewny, że uwielbiałbym cię, gdybym tylko się dowiedział, kim jesteś. Ale ja dowiem się o tem pomimo twego oporu, nie dziś to jutro, lub za tydzień, czyż nie lepiej więc, abyś dziś zadość uczyniła mej prośbie? Chyba że chcesz, żebym kochał nieznajomą?

— Być może — szepnęła.

— Czy grozi ci jakie niebezpieczeństwo? Czy lękasz się czyjej zazdrości, lub niedowierzasz mi?

Kobieta milczała, pozwalając mu czynić rozmaite domysły.

— Jeżeli tak — dodał z uniesieniem, — będę cię kochał nawet nieznajomą!

I pochylił się, aby ucałować jej rękę.

Kobieta cofnęła się wtył i w tem poruszeniu nie zbyt mocno przytwierdzona maska zsunęła jej się z twarzy, i Jakób z najwyższem zdumieniem ujrzał przed sobą postać Klemencyi Villa.

Patrząc na jej promienną piękność, przypomniał sobie biednego przyjaciela.

— Zapomniałaś już o nieszczęśliwym Piotrze, który zabił się z miłości dla ciebie — szepnął.

— Dla mnie? — podchwyciła z żywością. — Czy jesteś pan tego pewnym?

Jakób pobladł i spojrzał z trwogą na Klemencyą.

— Czy mniemasz, że pozbawił się życia dla kogo innego?

— Jakto? Nie wiesz pan o tem? Ale ja wiem i powtórzę ostatnią moję z nim rozmowę; o tem nawet doktor Dawidoff nie wie... Piotr, znudzony życiem, rozczarowany pod względem swej artystycznej wartości, stracił wiarę w przyszłość i w chwili moralnej słabości, ulegając wpływowi jakiegoś zabobonu, chciał przez śmierć swoję ocalić drogą sobie istotę...

— Przestań! przez litość! — z groźbą niemal zawołał Jakób.

— Dlaczego? Czy lękasz się jego cienia? Wszakże on względem ciebie nie okaże się złośliwym, ani gniewnym... W uniesieniu powiedział mi: Jakób cię lepiej odemnie kochać potrafi; jeżeli rzeczywiście cząstka mojej istoty odżyje w nim, zadrżę z radości w głębi swojego grobu!

Słysząc to świętokradzkie kłamstwo, młody człowiek spojrzał na nią z przerażeniem. Chciał uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się na kanapkę bezsilny, nawpół zemdlony.

— Ostatnią jego wolą było przekazać swą miłość panu i odtąd nie obronisz się już temu uczuciu — ciągnęła dalej Klemencya.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Piśmiennictwo.

„Jak można w małżeństwie nawet znaleźć szczęście,"—pod tak ironicznym tytułem naucza autor „Świata kobiety" w obszernej książce, przełożonej z języka angielskiego przez T. Prażmowską. Używamy terminu *ironiczny* ze względu na słówko „nawet," które kazałoby wnosić, że małżeństwo daje szczęście bardzo wyjątkowo, a raczej że nie leży ono w jego naturze. Tymczasem autora o tak pesymistyczne przekonania posądzać niepodobna. Już ze „Świata kobiety" przemawiał bardzo silnie optymizm jego, ugruntowany na wierze w szlachetność uczuć ludzkich. I tam, jak tutaj, odnosił on wszystkie sprawy do jednego źródła — do religii, w imię której przemawia zawsze. Jeżeli nie mówi nic nowego i obraca się w dawno już wytartych komunałach, jeżeli sprawom człowieczym nie naznacza kierunku nowego, ani się na to nie sili, jest zawsze bardzo nauczającym predykantem protestanckim, kocha ludzi, ma dobre serce i często przejawia tkliwe uczucia poczciwego bliźniego. Cała książka jest tylko jednem kazaniem, zszytem z rozdziałów luźnych, niezestawionych organicznie i mających na celu umoralnienie tych, którym los przeznaczył role ojców i matek, żon i mężów.

O ile wiemy, „Świat kobiety" znalazł u naszej publiczności przyjęcie jaknajlepsze, znajdzie je i ta nowa książka tego autora, a znajdzie je dlatego, że umysłu nie wysila, problematów mu żadnych nie podsuwa, myśleć i łamać sobie głowy nie każe — serce wmiarę głaska i drapie, prawi rzeczy stare jak... małżeństwo, ale i tak jak ono dobre. Jest-to jedyny szczegół na pochwałę tej książki, która, gdyby nie wyszła, nie zabrałaby może miejsca dla innej, pożyteczniejszej.

Tym jednak, którzy czytają wogóle mało, i to się przyda...

„Listy do młodzieńca o wyborze stanu" napisał doktor J. Tchórznicki, a książka jego, przychodząc na czasie, mogłaby odpowiedzieć istotnej potrzebie, gdyby nie była w pomyśle zasadniczym chybioną najzupełniej. Autor przeciwny jest obieraniu zawodów, których podstawą bywa wykształcenie uniwersyteckie, a to dlatego niby, że w nich panuje przeludnienie. Zadużo już jest lekarzy, zadużo prawników, a dla pedagogów niema miejsca. Najlepiej wziąć się do rolnictwa, choć je u nas zabija import amerykański, a potem do przemysłu, do handlu, do rzemiosł i t. d.

Nazywam pomysł chybionym w zasadzie dlatego, że owa hyperprodukcya—przeludnienie—między lekarzami i prawnikami, są wymysłem, niepopartym przez żadne dane. Chybionym jest też i przez to, że autor najszlachetniejsze zawody traktuje jedynie ze względu na ich wartość i widoki materyalne i zdaje się zapominać o tem, że człowieka nie można pchać w robotę dla jego usposobienia wstrętną i że ktoby pragnął zostać z powołania adwokatem, ten na stanowisku subiekta handlowego może być tylko partaczem na torturach. Wprawdzie doktór Tchórznicki nie zniechęca stanowczo do pewnych zawodów, i owszem, ukazuje widoki powodzenia na obczyźnie — ale nie rozumiem, czy obczyzna może być celem w wyborze stanu...

Książka ta nie odpowiada stanowczo swojemu przeznaczeniu i jest wydawniczym balastem, zachęcającym z tytułu, zawodzącym w treści. Nie uczy jak wybrać stan, wskazuje tylko który jest, a który nie jest materyalnie korzystny. To chyba zamało! Jak na nieszczęście, rozpoczęto tu rzecz od zawodu lekarskiego, naszpikowaną frazesami podjazdowemi, które ten stan w ciemnych malują barwach. Wydaje się, jak gdyby autor pisał te rozdziały nie dla pożytku młodzieńca, ale gwoli swej wezbranej żółci. Nie nauczy się też z nich „kochany Kazio," jak się do zawodu przygotowywać trzeba, czego się uczyć, jaki do niego wnieść kapitał umysłowy, ale dowie się o tem, jak się prowadzi konkurencya między medykami, jakie bywają honorarya, niewygody, nieprzyjemności i t. d. Jeżeli zechce na ślepo ufać autorowi, zniechęci cię do zawodu, przerzuci się wbrew zdolnościom i powołaniu na inną drogę i poniewczasie dopiero przyzna, ze popełnił grubą omyłkę, idąc za podejrzanej wartości wskazówką.

Ażeby scharakteryzować ducha tej książki i zasady, jakiemi się rządzi autor w jej kreśleniu, pozwalamy sobie przytoczyć z niej słowa następujące: „Jeszcze próbowałbym cię namówić do handlu. Jestem pewny, że zyski i zadowolenie miałbyś wielkie i zasługę społeczną, ale pewno nie masz pieniędzy—a w handlu to grunt, — przytem potrzeba toczyć walkę na śmierć i życie z monopolistami. Kraj nasz i całe państwo niesłychanie bogate w zasoby naturalne; niema jednak dotąd racyonalnego podziału pracy. U podnóża i w szczytach Uralu, Kaukazu, Nerczyńska i w ziemiach Jakutów są całe pokłady złota. Upomnieć się o te skarby tylko trzeba, a upomnieć się mogą inżynierowie-górnicy. Tak dalej być nie może! Jest złoto, srebro, miedź i żelazo, jest węgiel, ołów, cynk i dyamenty—i mają tak sobie leżeć aż do skończenia świata? Nie—ty, Kaziu, na czele swych kolegów, zabrzmij: „Sezamie, otwórz się!" a skarby te otworzą się i Berlin kłaniać się będzie; nie ujrzymy, co to jest kurs. Tu sekret, tu tajemnica!..." i t. p.

Tak, kochany Kaziu, jeżeli pociąga cię zawód lekarza, spać ci nie daje myśl o poświęcaniu się dla bliźnich, jeżeli marzysz o pracy dla nauki i dla jej postępu—nie bądź dzieckiem, nie zapalaj się do mrzonek, nie chciej walczyć ze znachorami i felczerami, idź do ziemi Jakutów i tam, wbiwszy wzrok w widmo złotego cielca, krzycz na całe gardło „Sezamie, otwórz się!"

Ale nim to nastąpi, nim poczniesz wrzeszczeć na upartego Sezama, o którym zapewne aż do chwili przeczytania „Listów do młodzieńca" nie pomyślałeś, rozliczaj się bacznie z głosem wewnętrznego powołania i szczerze żałuj, że niektórzy lekarze nie zostali handlarzami. Innym byłoby przez to luźniej, a biedni ludziska nie mieliby czego żałować.

Rz.

Uwaga. W rubryce niniejszej na przyszłość będziemy pomieszczali wzmianki o tych tylko książkach, których wydawcy raczą je nadsyłać pod adresem redakcyi „Tygodnika mód i powieści."

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Wielkie magazyny tutejsze wystawiły już na widok publiczny niezliczoną moc ciepłych tkanin, płaszczyków, paletotów, żakietek i kostiumów zimowych. Słynne modniarki przysposobiły mnóstwo kapotek, toczków i kapeluszy z kastoru, aksamitu i sukna. Tak jest wielka rozmaitość w tych strojach, że nie łatwo określić główne cechy mody dzisiejszej. Powiedzmy też, że Paryżanki wielką w tym względzie zachowują swobodę. Panują one nad modą, ale nigdy nie ulegają jej niewolniczo, umieją zastosować ją do wzrostu, do wieku, do koloru włosów i cery i ta właśnie harmonia sprawia, że sztukę ubierania posuwają do wysokiego artyzmu.

Wśród tej rozmaitości, wprawne oko może dopatrzeć jednak ogólnych rysów charakteryzujących przyjętej mody. Do niej należą w tym roku tkaniny wełniane, grube napozór, lecz miękkie i układne, w dzikich nieokreślonych kolorach, to gładkie; to w niewydatne prążki, w koła lub inny deseń *chiné*, do mody powszechnej należą także kostiumy płaskie zprzodu i pobokach, nafałdowane wtyle i lekko powłóczyste, strojne suknie z cienkiego sukienka przybrane haftem lub materyą, okrywki w formie wielkich aż do ziemi rotond, długie żakietki, objęte wydrą lub astrachanem.

Co do kapeluszy, w wyborze ich zupełna panuje swoboda. Noszą tu zarówno wielkie flamandzkie kapelusze à la Rembrandt i hiszpańskie Bolero, maleńkie kapotki, toczki i berety; nad morzem nawet noszono trykotowe szlafmyce z kwaścikami, lecz ta ekscentryczna moda nie przyjęła się na paryskim bruku. Inne kapelusze widzimy na ulicy, inne na wizytach i teatrze. Podczas gdy pierwsze cechują się ogromnym rozmiarem, ostatnie znów tak maleńkie, iż dziwna rzecz, dlaczego zachowały nazwę kapelusików, a nie zowią się poprostu stroikiem, niektóre złożone tylko z rulonu, lub plisy aksamitnej, przeciągniętej wokoło głowy, zdobnej metalowemi blaszkami i egretką upiętą ponad czołem. Oprócz tego widzimy jeszcze toczki i kapotki sukienne, bardzo modne w tym roku, ubrane aksamitem, pęczkiem piór, albo ptaszkiem.

Oglądaliśmy właśnie piękny dobór zimowych kapeluszy, wysłanych ztąd parę tygodni temu na model do magazynu pań Kuhnke w Warszawie. Kapelusze te, wybrane u pierwszych modniarek tutejszych, odznaczają się niepospolitym gustem. Dajemy szczegółowy ich opis.

Kapotka od pani Lois z cienkiego sukienka w kolorze *Sable de Suez*, piaskowo-czerwonanym, wzdłuż główki idą płaskie fałdy; ponad czołem upięta kontrafałda sukienna, a na niej druga mniejsza z ciemno-zielonego aksamitu. Taki sam aksamit przechodzi do boków i pokrywa obie strony kapotki.

Druga, również od pani Lois, czarna aksamitna, rondko jej maleńkie, ułożone w trzy płaskie podłużne fałdy. Główka mała, namarszczona, wtyle objęta girlanką z czarnych strusich piórek. Zpod tej girlandki wybiega wgórę egretka z piórek czaplich. Końce z czarnej jedwabnej wstążki, niezbyt szerokiej, dopełniają całości.

Trzeci toczek aksamitny czarny, z magazynu pani Virot, ma brzeg ułożony dokoła w drobne rurki. Główka w formie beretu lekko namarszczona, nad czołem wpięta egretka z piórek błękitnych, podłożonych czarnemi. Od tyłu spada czarna aksamitka do związania pod brodą.

Czwarty toczek z magazynu pani Michniewiczowej. Główka berecikowa z sukienka w kolorze dzikim *bison*, cała nafałdowana, otoczona wodą z czarnego aksamitu. Wtyle główki ułożony stojący puf z sukienka, przytwierdzony łebkiem łasicy, ztąd wybiega egretka z czaplich piórek w kolorze dziko różowawym (*rose glayeul*).

Niemniej są ładne okrągłe kapelusze, ze słynnego magazynu p. Berteil; pierwszy z nich Bolero popielato-różowawy, z główką niską i rondem odwiniętem. Główka otoczona zwojem ciemno popielatego aksamitu, zprzodu ułożony wielki węzeł, w tyle na odwinięciu ronda płaska kokarda, a na niej utkwiony ptaszek z rozpostartemi skrzydełkami, z wierzchu popielaty, od spodu różowawy.

Drugi kapelusz czarny kastorowy z wielkiem rondem i nizką główką. Z przodu spadają na rondo długie pukle z czarnej wstążki w pasy aksamitne i pobokach upięte skrzydełka; w tyle odwinięte rondo, przytwierdzone wielką kokardą.

Trzeci kapelusz kastorowy koloru ciemno czerwonawego. Rondo objęte atłasem, wkoło główki

idzie pas z maleńkich piórek strusich; pukle spadają na przód ronda, inne zdobią tył główki.

Czwarty kapelusz kastorowy, szary, w odcieniu *beige*. Rondo wielkie, na niem upięte pukle z wstążki szarej i z drugiej ciemno-szafirowej w paski pąsowe; obie te wstążki przechodzą przez główkę i tworzą kokardę wtyle na odwinięciu ronda. Do tej przesyłki należały także modele zimowych okrywek. Załączamy ich opis:

Płaszczyk czarny, długi do ziemi, z cienkiego szewiotu, lekko podwatowany, podbity czarną materyą *surah*. Plecy przystają do figury; poły wtyle rozcięte aż do stanu. Przód nieco przymarszczony, spięty w pasie na piękną pasmanteryą. Pelerynka do tego, cała zahaftowana, wkoło obszyta frendzlą, odpowiada jej kołnierz hiszpański, zwierzchu pokryty haftem, od szyi aksamitny. Rękawy szerokie wgórze, zwężone zupełnie u ręki.

Drugi paletot z granatowego sukna, wcinany do figury. Przez plecy dana osobna kontrafałda *Watteau* spada luźno poniżej stanu, dalej łączy się z tylnym brytem. Pod tą kontrafałdą przechodzi potrójna pelerynka, objęta pasmanteryą. Przód paltocika lekko przymarszczony, spina się motiwem z pasmanteryi.

Trzeci paletocik także sukienny do figury, w kolorze szarym, lekko podwatowany, podbity szafirową materyą *surah*. Przody zachodzą na bok, z tejże strony ciągnie się rzędem ośm kokard jedwabnych, zakończonych grelotkami szmuklerskiemi. Rękawy bufiaste wgórze, u ręki mankiet zapięty na drobne guziki. Od szyi spada mały kapturek, wyłożony materyą szafirową.

Z drobnych przedmiotów zwrócił uwagę naszę ładny szalik do okręcenia wkoło szyi, czarny koronkowy, długi na sześć łokci, bardzo wązki ułożony w podłużne plisy. Z obu stron idzie namarszczona koronka, wązka na cztery palce. Szalik ten kładzie się na wierzch okrycia, wiąże wgórze wstążką. W pokoju, po zdjęciu płaszczyka, pozostaje na szyi, końce tylko zwracają się do tyłu i spinają razem, tworząc szarfę.

Wspomnijmy tu jeszcze ładne czepeczki białe koronkowe do rannego ubrania. Są to fanszoniki bez końców, naszyte wązką wstążeczką różową lub błękitną. Nad czołem nagarnirowana koronka tworzy podniesiony dyadem, takiż garnirunek spada na warkocz. W pośrodku głowy upięta kokarda w stosownym kolorze. Podobne fanszoniki czarne koronkowe, przybrane kokardą aksamitną, czarną lub kolorową, bardzo odpowiednie dla starszych osób.

Właśnie kiedy kończyliśmy sprawozdanie dzisiejsze, na jednym z wielkich teatrów tutejszych odegrano poraz pierwszy nowy dramat Wiktoryna Sardou, Sara Bernardt wystąpiła w roli Kleopatry. Cały Paryż zajęty sztuką, przedstawioną z niesłychanym przepychem.

Pewni jesteśmy, że moda pochwyci malownicze stroje bohaterki egipskiej i rozpowszechni je w oka mgnieniu. Przewidzieli ten popęd fabrykanci, od roku bowiem wiadomo było, że Sardou pracuje nad dramatem, przygotowali też różne tkaniny wełniane w guście wschodnim. Widzieliśmy już bardzo ładne szlafroczki ranne z miękkiego multanu w palmy, albo w perską mozajkę, z szeroko spadającemi rękawami *à l'Egiptienne*. Otacza je w stanie szeroka szarfa z materyi *surah* w kolorze pąsowym, szafirowym lub zielonym, przerzucona z lewego boku, zakończona u dołu frendzlą.

Na wystawach jubilerskich spostrzegamy także brosze i bransolety emaliowane w kształcie żmij, z rubinowemi oczami, przypominające tragiczną śmierć Kleopatry.

S. D.

Z chwili bieżącej.

* **Poduszki z papieru.** W Anglii zaczynają wchodzić w użycie poduszki, wypełniane dartym papierem zamiast pierza. Surogat ten ma się wybornie nadawać, szczególniej dla gorętszych klimatów, gdyż lepiej trzyma chłód niż pierze, ale musi się kwalifikować i dla krajów chłodniejszych, skoro okazuje się praktycznym w Anglii. Z dobrym skutkiem używają też poduszek papierowych po szpitalach; a im drobniej papier darty, tem poduszka nim wypchana przyjemniejsza w użyciu.

Gosposie nasze powinnyby zrobić próbę z tym angielskim wynalazkiem; wprawdzie w Anglii utrzymują, że papier, na którym drukowane są gazety, a którego zwykle najwięcej gromadzi się po domach, jest do zastąpienia pierza niezdatny, zpowodu niemiłej woni jaką wydaje; sądzimy jednak, że to tylko szykana na dziennikarzy. Woń nieprzyjemną może nadawać temu papierowi chyba farba drukarska, dopóki świeża; gdy atoli zwietrzeje, można przecież gazety skubać na pierze tak samo, jak każdy inny papier.

Wreszcie ileż się to innych papierów, oprócz gazet, marnuje bezużytecznie, kiedy tymczasem starannie zbierane mogłyby posłużyć na poduszki, jeżeli już nie dla ludzi zamożniejszych i wybredniejszych, to dla biedaków, którzy literalnie nie mają na czem głowy złożyć, gdyż pierze, zpowodu swojej ceny, są dla nich artykułem nieprzystępnym. A kto wie,—może ten surogat okaże się tak dobrym, że w nim zasmakują nawet ci, których stać na puch, nietylko na pierze! Spróbujmy!...

* **Na kościół.** Jmć ksiądz Matuszewski, proboszcz parafii warszawskiej Wszystkich Świętych, następującą podał do wiadomości publicznej odezwę: „Kwestując po domach swojej parafii (na mocy pozwolenia ministeryalnego), od sześciu tygodni zebrałem dotąd zaledwie rs. 1,854 (do d. 24 Października włącznie). Jakże to więc jeszcze daleko do 40,000! Chociaż, co prawda, mam jeszcze przed sobą blizko dwa lata, bo na taki przeciąg czasu pozwolenie służy. Główną przyczyną tak małego rezultatu jest skąpstwo zamożniejszych parafian, prócz kilku bowiem poważnych ofiar i kilkunastu przyzwoitych zpomiędzy plutokracyi albo arystokracyi, wielu właścicieli domów daje niecałego rubla, albo chowa się przed księdzem kwestarzem, a tylko ubodzy dają chętnie i obficie."

Odezwa ta, za której prawdomównością i charakter jej autora i sama jej nieco szorstka prostota przemawiają, niezbyt korzystne rzuca światło na parafią Wszystkich Świętych. Pobożne parafianki powinnyby bliżej wejrzeć w tę sprawę, która z natury swej głównie do ich departamentu należy.

* **Królowa poetka.** Literatura coraz szersze zdobywa sobie prawo goszczenia na tronach... Piszą prawie wszyscy członkowie rodziny panującej w Anglii, kilku Habsburgów, nie mówiąc już o nieboszczyku arcyksięciu Rudolfie, który stał na czele wspaniałego wydawnictwa: „Austrya w słowie i obrazie" („*Oesterreich im Wort und Bild*"), przysłużyło się piśmiennictwu specyalnemi pracami na różnych polach wiedzy ludzkiej; paru Hohenzollernów próbowało sił swoich w zawodzie pisarskim; Bernadattowie szwedzcy chętnie imają za pióro; nawet Milan serbski zamierza podobno wydać opis swej podróży do Ziemi Świętej; ale w najrozleglejszem tego słowa znaczenia poetką w koronie jest królowa rumuńska, pod pseudonimem Carmen Silva zaszczytnie znana w literaturze.

Przed kilkoma dniami królowa poetka, bawiąc chwilowo w Wiedniu, w mieszkaniu swem w hotelu Imperial urządziła poranek artystyczny, na którym odczytała nowy swój pięcioaktowy dramat, osnuty na jednej z legend rumuńskich. W antraktach popisywali się muzycy i śpiewacy.

Na poranku, oprócz arcyksięcia Karola Ludwika z żoną, znajdowali się intendent teatrów nadwornych bar. Bezecny, dyrektor teatru Cesarskiego Burckhardt oraz celniejsi artyści i artystki. Dramat podobał się wielce i będzie niebawem w teatrze cesarskim wystawiony.

Koronowana autorka odjechała nazajutrz do swojej stolicy, unosząc z sobą nowy liść do swego poetyckiego lauru, którego świeża zieleń podnosi blask kruszcu w koronie monarszej, zdobiącej skronie utalentowanej kobiety.

* **Ś. p. Emilia Puffkowa.** W tych dniach zmarła w Poznaniu Emilia z Kowskich Puffkowa, zasłużona autorka wielu prac, przeznaczonych dla młodzieży i ludu. Była to w całem tego słowa znaczeniu zacna matrona, to też pamięć jej cnót i żal po jej stracie długo pozostaną w sercach tych, którzy mieli sposobność poznać ją i ocenić.

* **Poświęcenie pomnika ś. p. Jana Królikowskiego.** We czwartek d. 30 Października odbyło się w kościele powązkowskim żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Jana Królikowskiego. Celebrował ks. prałat Dudrewicz; na chórze śpiewali członkowie opery tutejszej pod dyrekcyą p. Mellera. Po nabożeństwie, za przewodem księdza prałata, w asystencyi ks. Kubiakowskiego, rektora kościoła powązkowskiego, zgromadzona rodzina, przyjaciele i wielbiciele nieboszczyka udali się na grób jego, gdzie odbyło się poświęcenie wzniesionego ze składek pomnika. Obrzędowi towarzyszyły śpiewy religijne i łzy nieutulonego jeszcze żalu po wielkim artyście, wzorowym ojcu rodziny i dobrym obywatelu.

* **Gorące kasztany** będziemy wyciągali z ognia— pani Lucyny, której, choćbyśmy wszystkie palce poparzyć sobie mieli, życzymy wszelkiego w nowem przedsiębiorstwie powodzenia, jak go życzymy wszelkiemu naszego *self helpu* objawowi. Trzeba bowiem wiedzieć, że od tygodnia, po rozmaitych punktach miasta, rozstawione zostały umundurowane i uzbrojone w piecyki z kasztanami pikiety zpod zawsze dzielnej komendy pani Ćwierczakiewiczowej. Firma jest najlepszą rękojmią, że sprzedawane pod jej flagą specyały nie będą ani przepieczone, ani niedopieczone. A kasztany wieczorem przy herbacie, to dobra rzecz, zwłaszcza gdy się wprzód skonsumuje jeden z 365-ciu obiadów...

* **Dziewica morska.** Nieboszczyk Wincenty Pol twierdził: „Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie." Może on i miał racyą, ale że są i źli a zwłaszcza złośliwi, to także nie sekret, a jednym z najlepszych tego dowodów jest to, iż znalazł się taki, który powyżej przywiedzione miano nadał rybie, a raczej jednemu z najohydniejszych morskich potworów. Brzydactwo to ma kształt ryby pękatej ze łbem okropnym posiadającym potężną wargę dolną, a zato pozbawionym prawie górnej, tak, że wszystkie zęby siedzą na wierzchu. Kapryśna natura nos i oczy osadziła w tylnej części łba, zamiast skrzeli dała potworowi dwie krótkie ręce, zupełnie do ludzkich podobne, bez pletw, a wierzch łba okryła włosami długiemi, zupełnie jak u kobiety.

Piszemy o tem dlatego, iż takiego, nader rzadkiego potwora, złowionego niedawno w morzu Czerwonem, niejaki Pohl, podobno kapitan, obwozi właśnie po Europie. Do Wiednia dowiózł go nawet, ale tam zdechł, gdyż nie wiedziano właściwie czem go karmić. Obecnie obwozi go wypchanego, a podobno zamyśla go i w Warszawie zaprezentować.

Ostrzegamy zatem przed zawodem, jakiego musiałby doznać ten, kto, zaufawszy anonsowi, spodziewałby się ujrzeć jakieś cudo morskiej wody. Rozczarowanie mogłoby być za silne. Zastrzegamy się też, iż nie jesteśmy, broń Boże, twórcami bezczelnie wymyślonej nazwy, tylko wiernymi jej tłumaczami.

* **Akademia lekarska dla kobiet** założona została w Edymburgu. Jest to pierwszy w tym kraju wyższy zakład naukowy dla kobiet; prezydentką i rektorką jego będzie księżna Fife, jedna z córek królowej Wiktoryi. Pani ta, wysoko wykształcona, pilnie się około dźwignięcia tego zakładu krzątała.

* **Nowy środek przeciw oparzeniu.** Kobieta jakaś, oparzywszy sobie straszliwie ręce wrzącem mlekiem, nie wiedząc sama co robić, zanurzyła je w skrzyni z mąką, i—ból natychmiast ustał, ani jeden bąbel się nie pojawił i nazajutrz śladu już oparzelizny nie było.

Niestety, nie mieliśmy dotąd sposobności sprawdzić skuteczności tego środka, nie zawadzi jednak, żeby go spróbował każdy, komu się zdarzy niefortunna w każdym razie do tego okazya. Jeżeli się to cudowne działanie mąki potwierdzi, będziemy mieli o jeden więcej w szeregu pożytecznych wynalazków, któremi kobiety ludzkość uszczęśliwiły.

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i prospekt wydawnictw Plato v. Reussnera.

POLSKI SKŁAD NICI
i Warszawska Fabryka Pończoch i Trykotaży
tylko na ulicy hr. BERGA Nr 11, w Warszawie. 41—5—12

Posiada znaczny zapas Pończoch w najświeższych kolorach i deseniach, Skarpetek, Kamaszy męzkich, damskich i dziecinnych, Kamizelek, Chustek, Halek i Koszulek tak ciepłych jak i siatkowych. Wszystko obok najlepszych gatunków, odznacza się cenami najprzystępniejszemi, ***Koszulki Wioślarskie*** i dla ***panów Cyklistów.***

MAGAZYN EGZYSTUJE OD 1886 ROKU.

GŁÓWNY SKŁAD
JAROSŁAWSKIEGO PŁÓTNA
POD FIRMĄ
MOSKIEWSKI MAGAZYN,
Bielańska Nr 7, Hotel Krakowski.

Otrzymuje codziennie świeże transporty ***Jarosławskiego Płótna*** na koszule i prześcieradła różnej szerokości.

Obrusy, Serwetki białe i kolorowe. ***Garnitury*** na 6, 12, 18 i 24 osób. ***Ręczniki*** płócienne, kąpielowe i kuchenne. ***Chustki do nosa*** płócienne, batystowe i jedwabne.

Madapolam, Szyrtyngi, Kreas. Kanifas, Demikoton, Pika, Wiktorya i Nansuk na negliże damskie.

Drelichy na materace i rolety, różnej szerokości ***Dreliszek.***

Pledy bardzo wygodne na kostyumy męzkie, **Chustki bajowe**. **Kołdry sławuckie** i pluszowe w wielkim wyborze, **Kołdry watowe**, wełniane, atłasowe i pikowe. **Pończochy i Skarpetki** wełniane, bawełniane, fil d'écosse, fil de porse i jedwabne w wielkim wyborze. **Kaftaniki i Kalesony** trykotowe, bawełniane, fil d'écosse i czysto wełniane systemu D-ra Jegera. **Firanki**, pasowane i na arszyny, białe i kremowe.

Męzka i damska gotowa bielizna z madapolamu i jarosławskiego płótna oraz przyjmują się zamówienia na wszelkiego rodzaju bieliznę.

CENY FABRYCZNE.

Firma ma zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność i stałych odbiorców, że z dniem 1 (13) Lipca b. r., nie ma żadnych filii w Warszawie i z wszelkiemi zapotrzebowaniami uprasza udawać się do Magazynu **przy ulicy Bielańskiej Nr 7** i ręczy za dobroć towarów kupionych tylko w tymże Magazynie. Ciesząc się dotychczas zaufaniem Szanownej Publiczności, Magazyn ma honor polecić się i nadal łaskawym jej względom.

170—5—6 **Moskiewski Magazyn, Bielańska Nr 7.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE FRANCO I GRATIS.

Szkoła praktycznych rzemiosł
DLA KOBIET
Michaliny Drozdowskiej,
Chmielna Nr 52, mieszkania Nr 3. 51—?—3

Kurs nauki 3 miesięczny.

Zapisywać się można codziennie.

WYKŁADY NASTĘPUJĄCE:

Krój sukien i palt damskich systemem K. Głodzińskiego, oraz szycie tychże, za kurs nauki	rs. 15
Krój i szycie bielizny	rs. 10
Krój sukien i palt damskich systemem francuzkim oraz szycie tychże za kurs nauki	rs. 15
Krój i szycie gorsetów	rs. 15
Tkactwo	rs. 15
Wyrób pończoszniczy	rs. 15
Wyrób parasolniczy	rs. 12
Krawaty	rs. 8
Włóczkowe ręczne roboty	rs. 8
Koronkarstwo	rs. 6
Roboty włóczkowe deskowe	rs. 4

Możliwie nizkie ceny pozwalają mi ufać, iż zaszczyconą zostanę licznym zastępem uczennic.

SKŁAD HERBATY CHIŃSKIEJ
J. Z. Ratyńskiego,
JEROZOLIMSKA Nr 84, W WARSZAWIE.

Poleca wyborowe gatunki Herbaty karawanowej ze świeżo nadesłanych transportów.

W Warszawie, skład główny Jerozolimska 84. — **W Wilnie**, u T. Odyńca.

W Kaliszu, sklep własny, dom Rozena. — **W Mińsku**, u J. Staroniewicza.

32—?—?

Jersey'e i Matinée flanelowe
SIOSTRY BADIOR, 47—2—4

ERYWAŃSKA Nr 9, miesz. Nr 4.

SPECYALNY MAGAZYN 164—2—6

OKRYĆ DAMSKICH I FUTER
A. ŁOJEWSKIEJ,
w Warszawie, ulica Bracka Nr 10.

Na nadchodzący sezon został zaopatrzony w wielki wybór okryć: kortowych, syberynowych, pluszowych, żakietek i dolmaników, szub na wacie i futrach, garniturków futrzanych i fantazyjnych oraz znaczny wybór materyałów okryciowych, z których przyjmuje obstalunki na powyższe rzeczy, zapewniając dobrą i elegancką robotę. **Ceny możliwie nizkie.**

53—1—3

2 MAGAZYN NOWOŚCI 2
„Au bon goûts"
„JOANNA"
NOWO-MIODOWA

Na nadchodzący sezon został zaopatrzony w wielki wybór gustownie ubranych kapeluszy damskich, najnowszych woalek od 15 kop. zacząwszy, koronkowych fanszoników, fiszutek i szarf, włóczkowych chustek, pelerynek i szali, halek barchanowych, wełnianych i atłasowych, bluzek, matynek i szlafroków barchanowych i flanelowych, fartuszków najrozmaitszych, negliżyków od 30 kop. zacząwszy do eleganckich wstążkami przybranych, pasmenteryi do przybrania sukien i okryć, boa z piór, kryz Marya Stuart, creppe lissów i wielu innych artykułów w zakres damskiej tualety wchodzących. Przyjmują się obstalunki na staniki trykotowe (Jersej), okrycia, żakiety i suknie z własnych i powierzonych materyałów.

MAGAZYN OKRYĆ
I WSZELKICH UBIORÓW DAMSKICH
w Warszawie, Trębacka №11 (wprost Nowosenatorskiej),
pod kierunkiem
Jana Ostrowskiego,

który po powrocie z zagranicy, gdzie przyswoił wszelkie ulepszenia zastosowane w kroju i robocie, oraz sprowadził fachowo uzdolnionych ludzi, jest w możności wykonywać powierzone roboty, podług najświeższych żurnali po niepraktykowanie nizkich cenach. Przy dzisiejszych ciężkich warunkach, szczególną zwraca się uwagę pań przełożonych pensyj i rodziców na sumienne wykonanie i nizkie ceny. **Specyalność** roboty na puchu i wacie oraz wierzchy do futer. 177—2—4

Zawiadamiam, że **FABRYKA KWIATÓW** pod firmą

„IRYS,"
63—1—3 została przeniesioną na

HOŻĄ Nr 14, miesz. Nr 7.

Tamże poleca się duży wybór KWIATÓW.

KAPELUSZE AKSAMITNE I FILCOWE
podług najświeższych modeli ***Filcowe od rs. 2,***

poleca magazyn 64—1—3

Emilii Stypińskiej,
ulica RYMARSKA Nr 14.

W Szkole Kroju i Szycia
B. MALESZEWSKIEJ,
Plac Ś go Aleksandra Nr 13. 153—2—4

Wykłada się krój sukien, palt, szub, szlafroków, dolmanów, wszelkiego rodzaju ubranek dziecinnych sposobem łatwym francuzkim. Nauka szycia systematycznie przeprowadzona w najdrobniejszych szczegółach. Zapis uczennic przychodnich i pensyonarek trwa codziennie od 11 do 4. Dla pracujących w magazynach i t. p., lekcye odbywają się w godzinach wieczornych. Po ukończeniu kursu, uczennice otrzymują patenta.

Właścicielka Fabryki Gorsetów
Á LA SIRÈNE

powróciwszy z zagranicy, zawiadamia szanowne panie, iż na sezon bieżący zaopatrzyła fabrykę swoją w najmodniejsze fasony i rozmaite nowości.

Z czem się poleca

FABRYKA
GORSETÓW
à la Sirène,
2. NIECAŁA 2.

54—1—1

KAPELUSZE FILCOWE

dla dam w rozmaitych gatunkach i kolorach, ostatniej mody paryzkiej, wiedeńskiej i angielskiej, po bardzo nizkich cenach, 192—5—5 poleca

Marceli Wilden,
Wiedeńska Fabryka Kapeluszy
w WARSZAWIE,
Marszałkowska Nr 141
lub Zielna Nr 36, oraz Czysta Nr 6.

KUCHENKI BENZYNOWE
ulepszonej konstrukcyi,
NACZYNIA KUCHENNE oraz NOŻE
z fabryki **Gerlacha** poleca najtaniej
Edward DUSOGE
NOWY-ŚWIAT Nr 5
50—3—6 (wprost straży ogniowej).

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Октября 1890 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 45.

(Dalszy ciąg.)

N. 3—4. Suknia przybrana wstążką.

Na podszewce gładko dopasowanej do figury, zapiętej środkiem na haftki, materyał zwierzchni pleców przymarszczony jest kilkakrotnie w pasie, lewa połowa przodu pokryta gładko, prawa zaś zachodzi na nią, zapina się na ramieniu z boku na kryte haftki i założona jest środkiem w płaskie fałdy zwrócone do siebie. Rękaw przykrajać można podług r. 33 w N. 34. Morowa wstążka 6 c. szeroka zdobi suknię z białej crêpe de Chine podług r. 3—4; spódnica zapina się na wierzchu stanika.

N. 6 i 10. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Krój N. XI.

Model sukni był z gładkiej materyi ottoman i wełny czarnej w kolorowe kwiaty. Gładki przód sukni zakończa frendzla 17 c. szeroka, ze szneli i grelotek szmuklerskich fig. 48 daje wymiar połowy tylnego

N. 1. Koronka niciana; robota klockowa. Tabelka i napięcie deseniu patrz fig. 51—52.



N. 2. Kosz do papierów. Wyrzynanie na skórze patrz ryc. 5.





N. 3—4. Suknia przybrana wstążką.

N. 5. Deseń wyrzynany i malowany na skórze. Patrz ryc. 2



N. 6. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 10. Krój N. XI.

N. 7. Ubranie małej dziewczynki.

N. 8. Suknia zdobna szlakami Opis w N. 44 przy ryc. 21.

N. 9. Ubranie wieczorowe z długim trenem. Krój N. X.

N. 10. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 6.

N. 11. Suknia prinçesse ozdobiona haftem. Patrz ryc. 27. Krój N. IX

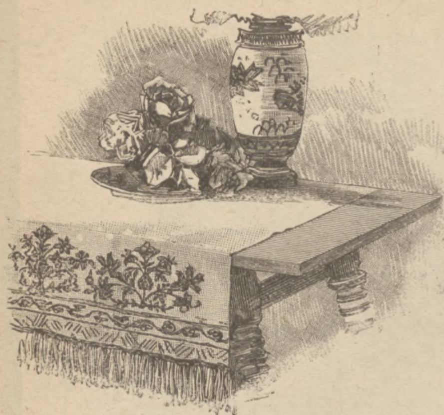
N 12. Suknia z kołnierzem Medicis. Krój N. VIII.

N. 13. Ubranie dla dziecka do chrztu. Patrz ryc. 24. Krój N V.

N. 14. Suknia przybrane złotą pasmanteryą.

N. 15. Ubranie wizytowe.

deseniowego bryta przedłużonego w mały tren, a z brzegów podług cieniowania podszytego materyałem. Górny brzeg ściśle zmarszczony od dwukropka, przypina się haftkami na baskinie stanika, podszyte brzegi wystają wolno i opuszczają się w fałdy. Przody kaftanikowe z dwoma zaszewkami krają się podług zwykłej formy i podług fig. 47 (litera *a*) i otwierają szeroko na krótkich przodach stanika zapiętych z boku. Części baskiny a raczej panier dodane z boków krają się podług *b* i przyszywają szwem odwracanym do trzech boczków i do spodnich przodów po drugą zaszewkę. Przody te i rękawy są z gładkiej materyi; przybranie frendzlą 9 c. szeroką wskazuje r. 10.



N. 16. Serweta z płaskim haftem. Deseń patrz N. I na arkuszu. Patrz ryc. 25.

N. 7. Ubranie małej dziewczynki.

Na podszewce z atłasu crême staniczek zapinany z tyłu i spódniczka zeszywane są z grubej wszywki valencienne 4 c. szerokiej, łączonej wąziutką wstaweczką podług r. 7. 5 c. szeroka koronka zdobi staniczek i służy na rękawki a u dołu spódniczki dana koronka 9 c. szeroka, przysłonięta puklami z wstążeczki 4 c. długiemi. Kokardy z wstążki 3 c. szerokiej.



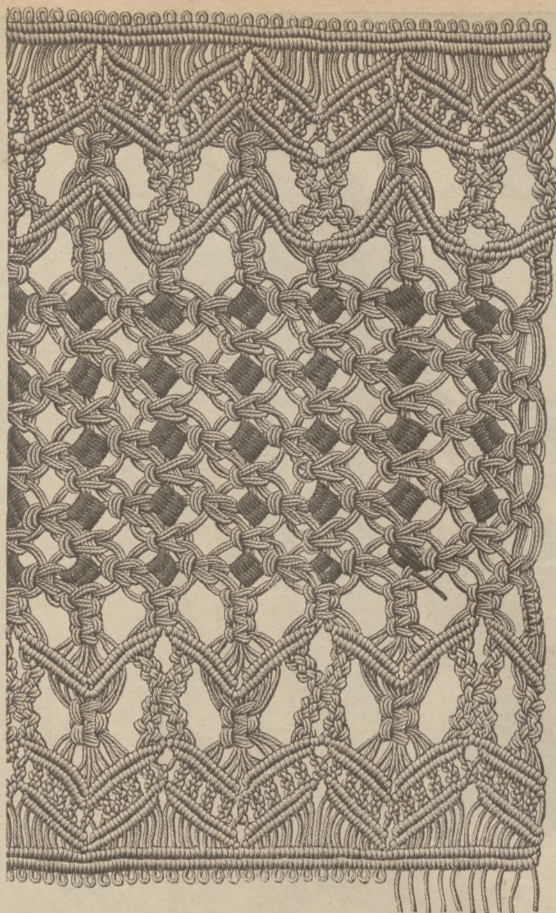
N. 20—21. Kamizelka z kołnierzem marynarskim.

N. 9. Ubranie wieczorowe z długim trenem. Krój N. X.

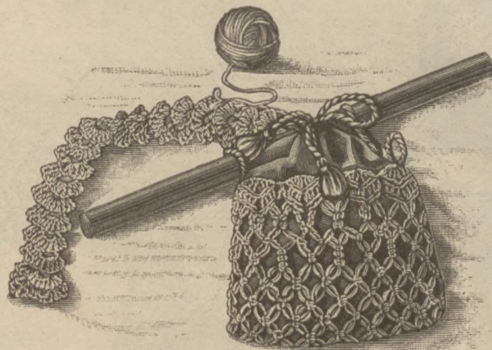
Kosztowny atłas jedwabny niebieskawo popielatego koloru, przerabiany w srebrne kwiaty, stanowi materyał na wspaniałą toaletę, odpowiednią dla starszej mężatki. Fig. 44—45 wskazują wymiar brytów spódnicy, pod którą trzeba spódnicy podszewkowej z tańszej materyi, krajanej powłóczysto. Na niej upina się najpierw bryt przedni (*a* fig. 44) zebrany w fałdy z prawej strony głębiej niż z lewej, jak to wskazują znaczki; górny brzeg naddany odpowiednio do figury wszywa się w pasek. Bryty boczne zaplisowane w trzy fałdy, zachodzą od gwiazdki do dwukropka na bryt przedni; na osobę pełniejszą bryty boczne można dać zupełnie gładko. Tylne bryty trenu krajać podług fig. 45 dającej wymiar połowy; ciężka materya wymaga tylko do połowy podszycia sztywnym muślinem, pod lżejszą trzeba dać cienko watę lub flanelę. Przeciąwszy i obrąbiwszy brzegi przecięcia u góry, składa się część wystającą w dwie fałdy i przyszywa do paska od sukni, pozostałe części boczne górnego brzega trzeba zmarszczyć każdą do 8 c. i wszyć w pasek przypinany haftkami do stanika. Krzyżyki i kropka wskazuje na brytach bocznych przypięcie trenu, podszytego rzędami muślinowych plisowanych falbanek o ile leży na posadce. Gładki z krótkim bawetem stanik ma przody otwarte na kamizelce plisowanej z tiulu jedwabnego, z którego również wstawiony szpiczasty klin w rękawy, wysoko odstające na ramionach. Koronka 18 c. szeroka, przyszyta brzegiem prawego przodu, przechodzi wzdłuż lewego boku aż do dołu sukni, układana wachlarzowo. Kołnierz z tyłu 10 c. wysoki.



N. 25. Haft płaski do ryc. 16.



N. 18. Robota wiązana *macramé*, do ryc. 19.



N. 19. Woreczek do robót. Patrz ryc. 18.

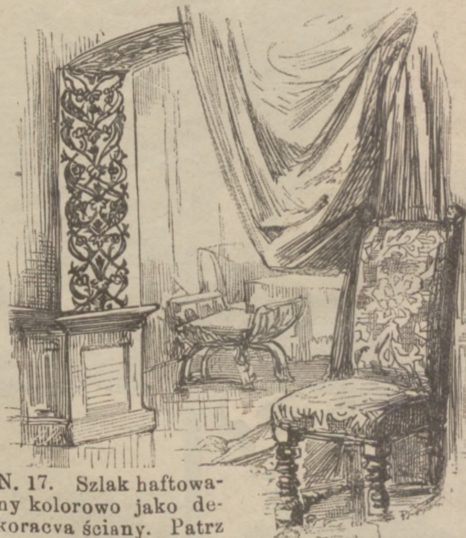


N. 23. Sukieneczka plisowana. Patrz fig. 54.

N. 11 i 27. Suknia princesse ozdobiona haftem. Krój N. IX.

Model w czarnym kolorze z materyi jedwabnej *armure* gładkiej i haftowanej ażurowo i z wszywki gipiurowej 14 cent. szerokiej, włożony był na sukni podszewkowej z żółtej materyi. Gładki stanik podszewkowy zapina się z przodu na kryte haftki i zeszyty jest ze spódnicą z przodu zupełnie gładką, z tyłu zfałdowaną, 240 c. u dołu szeroką i zakończoną dwoma plisowanemi falbankami, po 12 c. szerokiemi. Zwierzchnia suknia w kształcie vêtement formą prinçesse, kraje się podług fig. 43, na której cieniowanie oznacza pasy wszywki, która tylko na 9 c. zostaje ażurowo, gdyż zęby brzeżne przyszyte są na materyi. Plecy złożone są w fałdy zwrócone do środka, a szerokość zbywająca poniżej wcięcia stanu składa się w fałdy do spodu. Haft ażurowy dany przy lewej połowie przodu w całej długości, u góry naddany skośnie podług *a* na fig. 43, stanowi także spodnie części rękawów. U dołu sukni dana riusza z wszywki gipiurowej, ułożona z nagłówkiem 4 c. szerokim; kołnierz stojący $6^1/_2$ cent. wysoki z materyi czarnej i żółtej, przykryty wszywką. Kokardy z repsowej wstążki 10 c. szerokiej.

(*Dokończenie nast.*).



N. 17. Szlak haftowany kolorowo jako dekoracya ściany. Patrz N. 2 na arkuszu.



N. 22. Fartuszek z chustki jedwabnej.



N. 26. Suknia oszyta barankiem. Opis przy ryc. 1 w N. 44. Krój N. I.

N. 27. Suknia princesse ozdobiona haftem. Patrz ryc. 11. Krój N. IX.

N. 24. Sukieneczka do chrztu. Patrz ryc. 13. Krój N. V.